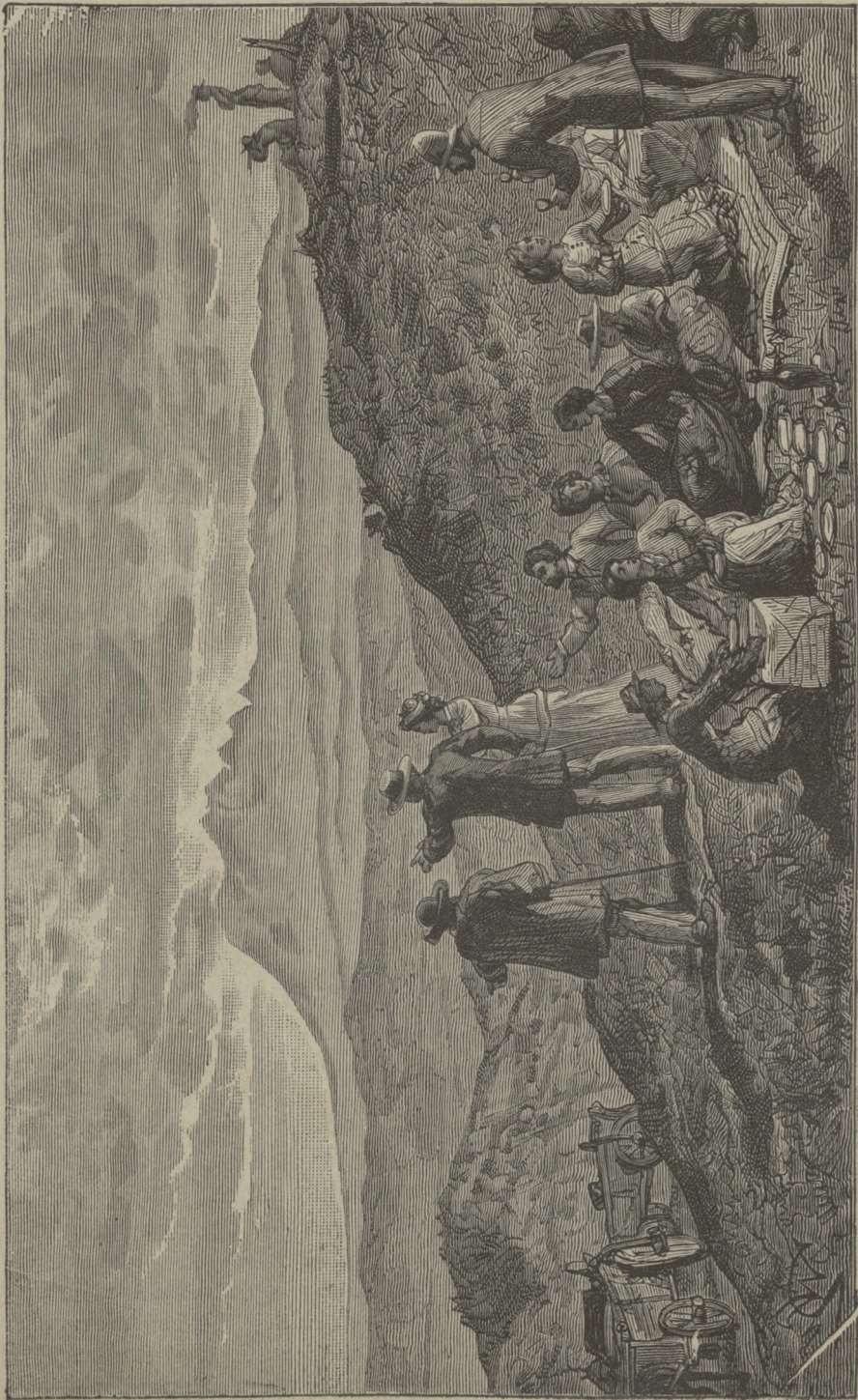


# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



WYCIECZKA NA JAWORZYŃ (str. 469).



## WSPOMNIENIA Z ŻYCIA POETY.

(Dalszy ciąg).

Innej mojej zachciance łatwiej stało się zadość. Szczególniejszym moim przyjacielem był p. Feliks Wrotnowski, bo ile razy przyszedł, usiadłszy ze mną na uboczu, piękne, długie bajki mi opowiadał. Zapytana przez niego co ma mi przynieść na gwiazdkę? zażądałam paliowych rękawiczek. Dla małych dzieci rzecz to nie używana, nawet w Paryżu; trzeba więc było obstalować je umyślnie na moją rękę, którą ojciec z p. Wrotnowskim odrysowali w tym celu na papierze. Możesz wyobrazić sobie, z jakim uczuciem znalazłam po śmierci ojca w jego papierach, zachowany na pamiątkę rysunek z położonym przez niego napisem: *rączka Marym* i datą; czy bez rozrzewnienia wspomnieć mogę o tych bagatelach, dowodzących z jak czułą troskliwością nawet wybrykom dziecinnym lubił dogadzać, a dla nas małych drobnostkowym być umiał!

Edukację naszą rozpoczął wówczas niejaki pan S., który nam dawał lekcye pisania, historyi polskiej i rachunków, ale że zniecierpliwiony naszą swawolą, czasem dawniej metody się trzymał i linią po palcach nas częstował, nie pozyskał sobie wcale naszej sympatii, i nie zasmuciło nas bynajmniej rozstanie, które wkrótce nastąpiło. Po nim dobry i łagodny pan Niedźwiedzki kaligrafii nas uczył i przez kilka tygodni miał cierpliwość przygotowywać zemną powinszowanie, które ojcu miałam wręczyć na imieniny, a które kilkadziesiąt arkuszy papieru kosztowało, zanim się dostatecznie udało. Ojciec często przechodząc przez salę gdzie te próby niezmordowanie odbywały się, zawsze odwracał głowę, żeby nie zepsuć mojej niespodzianki, a ja z bijącym sercem zakrywając swoją pracę, dziwiłam się, że tak szczęśliwie mi się udawało. Ubodło mnie tylko cokolwiek, że ojciec, kiedy mu to powinszowanie, poważnym bardzo stylem ułożone, podałam wreszcie zasunięte w parę pantofli mojej roboty, serdecznie śmiać się zaczął.

Zdaje się, że następnej wiosny mama zachorowała a mnie oddano w opiekę p. F. Ponieważ nie wiedziałam o chorobie matki, a i tak często u p. F. przebywałam, nie zasępiło to mojej przyjemności, kiedy zawiozła mnie do kąpieli morskich a następnie do pp. de Tocqueville, z którymi była w przyjaźni, i znowu parę miesięcy swobodnych i szczęśliwych spędziło zepsute dziecko. Powróciliśmy do Paryża ku jesieni, po raz pierwszy dom rodzicielski uczynił na mnie przykre wrażenie, którego wytłómaczyć sobie nie umiałam. Było

to może instynktowne poczucie chmury, która nad domem tym zawisła i cień swój długo nań rzucać miała... Ojca, którego zostawiła ciemnym brunetem, znalazłam osiwiałego; podczas choroby naszej matki i straszego o nią niepokoju, we trzy dni bujne jego włosy posrebrzyły się.

W owych latach urodził się nasz brat Aleksander, któregośmy stracić mieli w kwiecie wieku, i jego kołyska rozweseliła nas gromadząc wokoło nowego braciszka. Na lato wywiózł nas ojciec do St.-Germain. Przeprowadzając nas do kolei, wielki przyjaciel dzieci H. S. przyniósł na wiejskie gospodarstwo ślicznego białego królika z czerwonymi oczami. Ledwie weszliśmy do najętego nam domku, pierwszym naszym staraniem było wynieść do ogródka nowego gościa zamkniętego w koszyku. Nie domyślałyśmy się, że z tego koszyka wyjdzie dla nas nieszczęście jak z puszeki pandory. Królik bowiem w nocy wymknął się z zamknięcia, i używając swobody uraczył się trawą zielonego klombu z gazonu, który stanowił główną ozdobę maleńkiego ogródka, czém oburzona gospodyni, 60 franków szkody naliczyła za tę drogocenną trawę. Ojciec musiał zapłacić, ale oburzony taką złą wiarą, zaraz się wyniósł do innego mieszkania. Tam znalazł przyjemnego sąsiada półkownika Bignon, napoleońskiego żołnierza, a dla nas widok jego koni, rozmowy z ordynansem jego ułanem, były źródłem przyjemności, które nam choć na chwilę powracały wesołość, przytępioną sposobem w który nasza edukacja się odbywała. Przeniesienie się nasze z rue d'Amsterdam na Batignolles, rue du Boulevard 14, w jaśniejszych przedstawia mi się już kolorach. Mieliliśmy tam domek z ogródkiem, co było dla nas wielkiem szczęściem i zabawą, tak, że zapominając o wszystkich smutnych przejściach, powróciliśmy do dawnego trybu życia. Dom ten jak dzisiaj pamiętam jeszcze. Mieliliśmy na dole salon, salę jadalną, mały pokój gdzieśmy się podczas deszczu lub zimna bawili. Na pierwszym piętrze ojciec miał dwa pokoje, mama jeden z naszym obok. Kuchnia w osobnym przybudowaniu miała dach płaski, który Władziowi i mnie za taras służył bośmy, gimnastykować oboje lubili i piąć się po dachach i drzewach. Naprzeciwko drwalnia stanowiła jakby drugi pawilonik, a w ogrodzie założył się kurnik i z wielką naszą radością maleńkie gospodarstwo składające się z kur i z gołębi, dla których gołębnik się też wystawił domowej fabrykacyi. Ptaszko to tak nas zajmowało i tyle zawsze miałam ojcu do opowiadania o naszych kurach, z których każdej osobne studyowałam przymioty i życie codzienne, że mi raz ojciec powiedział, że-  
bym spisała te moje postrzeżenia; co też zrobiłam



równie poważnym stylem i z takim przejęciem się jak Liwiusz kreśląc dzieje Rzeczypospolitej Rzymskiej.

W ogródku naszym było i drzewko jarzębiny, które sam ojciec zasadził; gdziekolwiek mieliśmy ogród, zawsze dbał, aby w nim było to drzewo, które Litwę mu przypominało i którego gorzkie jagody przez przypomnienie też lubił. Sosny przyjąc się nie chciały, niezapominajki wędły, jedna jarzębina utrzymać się mogła w ciasnym ogrodzie i nam dzieciom też wyobrażała coś ojczystego. Ojciec zaczął znowu brać nas na spacer, czasem bardzo dalekie, najczęściej na grzyby, bo i to przypomnienie litewskiego grzybobrania miłém mu było. Nauczyliśmy się wcześniej rozpoznawać dobre od złych grzybów. Nieraz wracając do domu obciążeni wiankami dobrych grzybów, spotykaliśmy Francuzów niosących tryumfalnie muchomor, i ojciec długo im perswadować musiał, aby trucizny nie zanosili na obiad do domu; tak mało znają się oni na grzybach, co każdego roku sprowadza przypadki zatrucia. Jesienią ojciec zawsze choć na parę dni jeździł do Fontainebleau, aby zebrać i zamarynować zapas rydzów na zimę, przysmak, który nad wszystko przekładał wraz z litewskimi kołdunami. Inne potrawy polskie też często ukazywały się na naszym stole, pomimo zadziwienia i zgrozy francuzkich kucharek. Zwyczaj Wigilii i Świąconego ściśle był u nas zachowywany, szczególnie Wigilia, na którą też przypadają ojca imieniny. Dzień ten u nas najsolenniejszy w roku, w takie mnie wprawiał wzruszenie, że noc całą przepędzałam prawie w gorączce. Rano szliśmy wszyscy razem ojcu winszować, składać nasze życzenia i podarki; później zaczynała się długa procesja przyjaciół i znajomych, która przez dzień cały trwała bez przerw. Wieczorem, na stole sianém zasłanym, ukazywała się wieczerza, na nitce spuszczonej u sufitu wisiała gwiazdka z opłatka i kolebka, które ojciec sam przygotowywał, a na stole przesuwano się, z wielką nieraz trudnością pod dozorem mamy sporządzone tradycyjne potrawy. W ostatnich latach z wielką satysfakcją ojca znalazła się nawet żydówka polska, która przychodziła ugotować szczupaka po żydowsku, a na Wielkanoc przynosiła mace, bo ojciec i to znajdował smaczny; nieraz słyszałam jak wspominał, że niema na świecie ciasteczek wyborniejszych nad żydowskie obwarzanki nowogrodzkie. W każdą Wigilię także, wieczorem dawała się nagle słyszeć za drzwiami kolenda: *W grobie leży, któż pobieży*, której ojciec z widocznym rozrzewieniem słuchał, półgłosem wtórując ulubionej pieśni, która w nas tyle wspomnień budziła. Byli to przyjaciele i znajomi, którzy zawsze z tą samą, a zawsze miłą wy-

stępowali niespodzianką. Ojciec dopiero otwierał im drzwi i sam ich śpiewowi przewodniczył. Wieczór kończył się ponczem, a jak było więcej gości i ożywienia, tańcami i polonezem, w którym ojciec występował, zawsze powtarzając, że to jedyny tańiec tak piękny, poważny, dla każdego wieku stosowny. Nieraz przyciem wspominał, że w pierwszych czasach emigracji prowadził czasem w polonezie starą księżną Wirtemberską, która od tego tańca nie wymawiała się. Zasypialiśmy z myślą rozmarzoną temi pieśniami, wspomnieniami krajowymi, żałując tylko, że tak niezmierny przeciąg czasu, rok cały, oddzielał nas od drugiej podobnej uroczystości. W Wielki Piątek wieczorem ojciec zgromadził nas u siebie i przeczytawszy Ewangelię, śpiewał z nami Gorzkie Żale. Przy święconém ojciec dzielił się z nami i z gośćmi jajkiem, zamieniając przyciem życzenia, których treść, zawsze ta sama, głęboko nam utkwiała w pamięci. i coś dziwnego, że wychowani wśród tych zwyczajów krajowych, nie przyrosliśmy sercem i duszą do miejsca urodzenia, a wyobraźnią i myślą żyliśmy w rodzinnych stronach ojca!

Pierwsze przeczytanie *Pana Tadeusza*, gdzie te strony w tak cudnych przedstawiały się kolorach, ogromne na mnie zrobiło wrażenie, nie zarte żadnym późniejszym poematem. Ojciec też ze wszystkich swoich utworów ten najwięcej lubił, powiedziałabym prawie ten jeden podług moich wspomnień dzieciństwa. Kazał mi nawet czasem powtarzać na pamięć opisanie wschodu słońca i z widoczną słuchał przyjemnością.

Na rue du Boulevard lekcye niemieckiego, historii polskiej etc. brać zaczęłam od p. B. dobrego i zacnego człowieka, którego cierpliwości nieraz nadużywała swawolna uczennica. Wraz zenną przez czas jakiś brała lekcye najbliższa nasza sąsiadka panna Lelièvre, z której rodziną przyjaźniliśmy się. Brat jej był naszym towarzyszem zabaw i planów podróży, które, naczytawszy się Robinsona i Cooka, bez końca układaliśmy. Niezmierna przejęła nas radość kiedy na prawdziwą podróż się zebrało, i w lecie 1847 pojechaliśmy całym taborem do kąpiel morskich do Langrune. Nieznane to jeszcze zupełnie miasteczko rybackie ojciec wybrał, słysząc że samotne i tanie; ale wyrachowanie to zawiodło, bo przedstawiając jedyne prawie przybyszów z cywilizowanego świata, wszystko musieliśmy przepłacać, znosząc przyciem największe niedostatki i niewygody. Okolica naga, płaska, oprócz wybrzeża morza żadnego nie mogła dostarczyć spaceru; był to step piaszczysty bez ogromu i poezji stepu. Ale dla nas wszystko jeszcze niknęło w błasku nowości, a ileż wzruszeń



radosnych dostarczała podróż w dyliżansie i koleją żelazną, widoki nowe, w końcu to morze po raz pierwszy widziane! Pierwszego dnia, w uniesieniu szczęścia zaczęłam ręce ojca całować i z Władziem nad naszą radością, nad spełnieniem wszelkich naszych marzeń unosić się, kiedy Władzio nagle się odezwał: „jaka szkoda, że trzeba będzie ztąd wyjechać“.

.....

Mięsa raz tylko tu było można dostać na tydzień, po jarzynę posyłać się musiało do drugiego dość odległego miasteczka. Istotnie o mało że czasem nie cierpiało się głodu w tym gościnnym kraju. Ja i Władzio postanowiliśmy w tym ciężkim razie przyjść z pomocą i pracą naszą dom żywić, łowiąc codziennie kraby, rodzaj małych raków morskich. Ale choć i suknie i obuwie padły ofiarą naszych ciągłych wędrówek po skałach, które tylko przy odpływie morza zwiedzać było można, szukając kryjówek krabów, co rzadko suchą nogą udało się zrobić — mało bardzo w tych nieszczęsnych krabach było do jedzenia, i prędko się sprzykrzyły. Ale nam dzieciom te niedostatki mało czuć się dawały a swoboda wakacyi, przechadzki nad brzegiem morza, kąpiel i ciągłe szukanie muszli i traw morskich były dla nas niewyczerpanem źródłem przyjemności. Ojciec nieraz brał nas z sobą i pokazywał żyjątką i trawy morskie, któremi sam się bardzo interesował, wykazując subtelne te przejścia między skałą a skorupiakiem, trawą morską a rakiem, które zdają się tak jasno oznaczonymi ogniwaniami nieprzerwanego łańcucha, wiodącego od najniższego, najbardziej uśpionego jeszcze, aż do najdoskonalszego i najpełniejszemu życiu żyjącego tworu. Niektóre trawy morskie tak doskonale kleszcze raków naśladują, że pomylić się nieraz można, jak gdyby natura zawczasu próbowała przygotowywać kształty mające się nadać stworzeniu, które postawić miała na wyższym szczeblu organizacyi. Pomimo naszych wędrówek życie w Langrune puste i nudne być musiało dla ojca, który żadnego tam nie znalazł znajomego. Wieczorem jedyną rozrywkę stanowił fortepian“.

W czasach tych, autorka pamiętników wyjechała z przyjaciółmi ojca w Poznańskie, dla poznania kogoś z blizkich krewnych. Przebyła rok cały w oddaleniu od domu, poczem tak ciągnie dalej swe opowiadanie:

„Powróciłam do Francyi w jesieni 1848 r., kiedy wszystko, choć zewsząd gwałtem uciszone, ogniem jeszcze buchało. Ojciec był ożywiony, chwilami nawet wesoly i pelen otuchy. Wróciłam chora na febrę, której częste paroksyzmy wycieńczały mnie. Ojciec widząc mnie cierpiącą, prawie do

dawnych pieaszcot powrócił; godzinami siedział przy mojem łóżku, starając się uspokoić, kiedy paliła mnie gorączka; na ręku nosił po wschodach, kiedy mi się chciało do innego przejść pokoju, w końcu opowiadać znowu zaczął bajki. Rozpoczął nam jedną o dwóch mądrych i trzecim głupim, w której figurował ptak z brylantowemi piórami. Lecz w najciekawszem miejscu, kiedyśmy zawieszeni u ust jego, z bijącym sercem oczekiwali, jakim sposobem nasz bohater się dostanie na kryształową górę, na którą zaleciał ptak brylanto-pióry, nagle ktoś przyszedł z jakąś wiadomością gazeciarską, po której wysłuchaniu ojciec uśmiechając się do nas rzekł: „Skończę wam bajkę, ale nie zaraz, poczekajcie nieco“! Niestety, całując jego rękę z radosną nadzieją, że nie długo nam czekać przyjdzie, pożegnaliśmy porspektywę i dokończenie téj i opowiadania dalszych bajek, które już pomimo naszych próśb wszelkich, nie powtórzyły się.

.....

Z dawnych znajomych ulubionym był i częstym bardzo gościem Henryk Służalski. Ożywienie jego, niezmordowany dobry humor i prawdziwie szlachecka werwa rozweselała ojca, opowiadania przypominały litewskie pogadanki.

.....

Podczas karnawału w chwilach dobrego humoru, występował Służalski z kozakiem, którego tańcował znakomicie, ze wszystkimi kozackimi sztukami i prysudami, a niezmierną naszą admiracyą. Trzeba było jego wesołości, aby w tym ciężkim 1849 r. rozjaśniać tak czarny zewsząd horyzont i smutny często humor ojca.

Ojciec pracował nad dziennikiem *la Tribune des Peuples*, ciężkie to i niepewne zajęcie wkrótce ustało. Collège de France już był dla ojca zamknięty. Nastaly czasy tak ciężkie, że jedna po drugiej wszystkie kosztowności domu poszły na zastaw. Choć się to nieraz działo w naszych czasach, nie turbowaliśmy się tém wcale, bo naprzód nie rozumieliśmy całej okropności położenia, a potem nie wzrosliśmy, jak to zwykle dziś się dzieje, w poszanowaniu i uwielbieniu pieniądza. Uważaliśmy to za coś podrzędnego i brak takowego nie miał jeszcze dla nas znaczenia. Powoli to przesilenie finansowe minęło i choć położenie zawsze trudnym było, droższe sprzęty znowu do domu powróciły. Władzio chodził do szkoły, ja w domu uczyłam się i dopomagałam mamie w gospodarstwie, a szczególniej w szyciu z młodszą siostrą Helenką. W liczbie ulubionych nam dzieciom znajomych zawitała wówczas pani Quinet, dobra, zacna i miła żona słynnego profesora, która zjednała sobie nasze przywiązanie tkliwem zaintere-



sowaniem się, którego szczerłość dzieci uczuć umieją.

W tych czasach odbyłam pierwszą komunię. Piękny ten dzień, błogosławieństwo ojca i matki dotąd mi świeci jasno. Widząc mnie w białym ubraniu, pewnie nie przewidzieli oboje, że kiedy drugi raz na ślub białą suknię włożę, nie będzie już komu pobłogosławić podwójnej sierocie! \*)

D. c. n.

## WYCIECZKA NA JAWORZYNĘ.

Nie jeden zapewne z czytelników Wieczorów zwiadał Krynice i odbywał wtedy wycieczkę na Jaworzynę. Niema bowiem lata w którym by grono kąpielowych gości, nie wybrało się na szczyt z jakiego widzieć można w oddali Tatry. Droga wiodąca tam z początku równa i gładka następnie najeżona jest kamieniami, piękne wszakże widoki na szereg wzgórz zniżających się ku równinom Wisły i Sanu, oraz na rozsiane do koła wsie i miasta, wynagradzają poniesione trudy. Dochodząc do samego szczytu, przebyć trzeba wspaniałe las bukowy, nietknięty prawie siekierą, pełen gąszczu, łomu i zawałów, który porównać można jedynie do dziewiczych lasów Ameryki. Ku końcowi bukowych zarośli widnieje już szczyt Łomnicy, a dalej cały łańcuch Tatr. Wspinając się na sam wierzchołek Jaworzyny zwany *Kamieniem*, z którego widok sięga w dalsze jeszcze okolice, podróźni zakończają zazwyczaj swą wycieczkę i zeszedłszy nieco niżej, odpoczywają, posilając się wziętymi z sobą zapasami, jak to przedstawia rycina nasza.

## HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

— Lepiej znasz te strony niż ja, powiedz co myślisz? co z nami będzie? i jakby się ztąd wraz ze skrzynią wydostać, a do Kiernowa ją dowieźć?

Ale zdziwił się rycerz gdy zamiast właściwej odpowiedzi, uczył tylko znaczący uścisk ręki Hansa która tuż przy jego ręce na sianie leżała, a Hans równie cicho wyszeptał:

— Nie; już ja teraz prawdziwie wierzę że to nie Łoktek zaczarowany gada, tylko muzyczny instrument, ale powiedzcie też panie ojczce, dla cze-

go W. Mistrz posyła swój podarek żonie Gedymimowej zamiast Witenesowej, kiedy to przecież Witenes jest tam na tém Kiernowie W. Księciem litewskim?

Rycerz nie w ciemę bity prędko zmiarkował, że Hans musi mieć ważną przyczynę aby tak zagadywać jego pytanie, odszepnął więc natychmiast równie cicho jak poprzednio:

— Hm, prawdopodobnie dla tego, że jak słyszałem dowiadując się gdzie i do kogo jadę, Witenes stary jest, a Gedymim potężny i dużo ma przyjaciół, więc W. Mistrz woli skarbić sobie względy wschodzącego niż zachodzącego słońca. — Tak mówiąc i nie ruszając się z miejsca spoglądał rycerz bacznie w około, szukając przyczyny owego zagadywania Hansowego, jakoż odkrył ją, ale wtedy dopiero gdy Hans narzekając z cicha na pragnienie zwykle u rannych, zabierał się wstać aby iść w drugi koniec izby do stągwi z wodą. Wtedy dostrzegł rycerz, jak tuż obok nich w miejscu przez które Hans miał przechodzić poruszyło się coś bez szelestu i popęzło jak gadzina w najciemniejszy kąt izby, tam gdzie z wieczora siedział skulony mały Hans okrutnik wnuk stariej niewiasty... — Richardsdorff zdrzął o swój klawikord, jakkolwiek ten był w opakowaniu, złośliwy malec wysłuchawszy i wypatrzywszy wszystko co się w dzień działo, gotów był uszkodzić drogocenny instrument i przez pakę, on który z ludźmi obchodził się tak okrutnie. Szczęściem że gadzina owa, popęzła w przeciwną stronę ogniska, nie zaś tam gdzie stała paka, bo inaczej, rycerz byłby pewno skoczył za nią; a i tak zaniepokojony do żywego podsłuchiowaniem malca, postanowił nie spać i czuwać. Wkrótce zmiarkował że i Hans nie śpi, nie z bezsenności chorobliwej, ale silną wolą powodowany którą nad sobą sennym panował. Zawiązała się przeto znowu pomiędzy Richardsdorffami cicha gawęda, nie o sposobach wydostania się z teraźniejszej matni wszakże, ale o Łoktku o którego znów młodszy zagadnął starszego. Rycerz przy tej rozmowie zamyślił się jakoś, a potem kazał sobie opisać owego polskiego księcia, co gdy Hans uczynił, rycerz rzekł:

— Wiesz co mój synu, że kto wie, czy przypadkiem nie będę ci mógł o tym kogo szukasz, wiadomości udzielić, bo właśnie widziałem takiego dziwnie małego, krępego o dużych żyłastych rękach i dużych nogach, dużej czarno-włosiej, już bodaj czy nie siwej gdzieś głowie człowieka na szerokim świecie; pamiętam go po tém właśnie, że choć niepozorny okrutnie, przecież i okrutnie był niepospolity, a duma i śmiałość były od niego, acz wcale nie po rycersku się nosił.

— A po jakimużby? — zapytał Hans żywo.

\*) Pani Maryna z Mickiewiczów Gorecka poszła za mąż już po śmierci obojga rodziców.



— Po pielgrzymiemu — odrzekł rycerz. — Musiałeś przecież słyszeć że nasz biskup rzymski Bonifacy VIII ogłosił jubileusz niedawno; prawie w tymże czasie listami po dworach królewskich rozesłanemi, ogłosił też i W. Mistrz krzyżacki zamierzoną u siebie uroczystość Honorowego Stołu, na którą jak o tém musisz wiedzieć, wyrobił sobie Zakon u cesarzów i papieżyw ten przywilej, że jemu tylko jednemu na cały świat służy prawo zastawiania takowego Stołu Rycerskiego, jak jeden był wprzód na świecie Okrągły Stół króla Artusa. Oczywiście ruszyli rycerze ze wszystkich stron świata ku Prusom, acz nie bardzo znów wielu się znajdzie którzyby o zaszczyt ten nad zaszczytami pokusić się mogli: ruszyłem i ja. Zaś po drodze postanowiłem udać się na rzymski jubileusz i gorąco odprawić nabożeństwo aby przy pomocy nieba tém łatwiej cel mój podróży osiągnąć. Zbliżałem się do Rzymu wczesnym rankiem. Jadąc stępą jak każdy w długiej podróży, napędziłem już blisko bram miasta, na wielkiej drodze, pielgrzyma który jak raz tak wyglądał jak mi Łoktka twego opisujesz. Zrównawszy się z nim i nie chcąc go wyprzedzać przez uszanowanie dla pielgrzymiej sukni, umyślnie powstrzymałem konia i jechałem o parę kroków tuż za pielgrzymem, gdy nagle przed nim zjawił się wyszedłszy z kępiny laurów osłaniających złom kamieni, ksiądz, proboszcz widocznie, bo ubrany jak wszyscy włoscy proboszczowie codziennie chodzą, i mój pielgrzym padł tak nagle przed nim na oba kolana, że ja zaledwo zdążyłem konia mego a ten sam siebie powstrzymać, aby pielgrzyma klęczącego nie potrącić. Zsiadłem jak najprędzej z konia aby ukłęknać także przez przyzwoitość ze względu na przykład dany przez pielgrzyma, bo zresztą nie przykleka się przecież przed każdym proboszczem w podróży spotykanym. A wtém pielgrzym głośno po łacinie mówić zaczął:

— Od wiślanych fal idę, kłatwą poznańskiego Andrzeja przyciśnięty, a kłatwa jest ciężarem najcięższym duszy mojej i prócz tego... Na dziwnie te słowa, powiedziane do księdza, bo cóż mogło tam być jeszcze prócz kłatwy... i jam się zdumiał i proboszcz ów stanął, bystrém okiem obrzucił nawzajem nań patrzącego bystro pielgrzyma, stało się jakby rozmawiali się ci dwaj oczyma, aż proboszcz rzekł surowo, tak ażem ja zadrzał:

— Cóż jeszcze ci ciąży prócz kościelnej kłatwy?! — A ów pielgrzym odpowiedział:

— Bratnia krew! pod *Siewierzem* a *Skalą* wylana, Przemysława Głogowskiego, a Bolesława Opolskiego ciąży mi... — i zapłakał.

— Tak się rozmawiali ci dwaj, a ja całą tę

rozmowę spamiętałem, jakby się ona wryła na sercu mojem, które w owęj chwili miękkie było ze strachu jakiegoś jak wosk. I chwilę trwało milczenie, wtém proboszcz rzekł;

— Grzeszniku! czyli mię ty znasz? — A na to pielgrzym:

— Nie! ale czuje majestat dusza moja! — Natenczas najdziwaczniejsze z dziwnęj rozmowy wraził rzekł proboszcz:

— I w tobie jakiś ja widzę podwójny, bo i nie-szczęścia majestat.

To rzekłszy skinął i poszedł zwolna dalej w swoją drogę ku bramie Rzymu, a za nim szedł pielgrzym, a za nim kilku bogato i strojno ubranych duchownych i świeckich panów, którzy też z laurowego gaju wśród złomów wyszli jak i proboszcz, a postępowali za nim z uszanowaniem jako świta a dworzanie... Wtedy się dopięro domyśliłem, że widziałem biskupa rzymskiego Bonifacego VIII. Kto zaś był dziwny, dumny i pokorny razem pielgrzym, tego napróżno byłem ciekawy, aż teraz mi przychodzi na myśl przy twych opowieściach, synu, czy nie był to twój Łoktek?

— Tak panie ojcze, ani chybi to był on! — Hans wykrzyknął — słyszałem po wiele razy od Łoktkowej pani o tém właśnie, nad czém ten ksiązę najbardziej biada, i wy dobrze owe obco wam brzmiące nazwiska pamiętacie. Tak, wiem jak biadał ksiązę Łoktek nieraz, że mu ciąży na sumieniu krew bratnia pod Siewierzem i Skalą wylana krew Przemysława Głogowskiego księcia i Bolesława Opolskiego; chociaż to stało się przecież w otwartym boju i w obronie własnych praw dziedzicznych, ale zawsze bratnia a i krewna jeszcze krew, straszny musi to być ciężar.

— Tak, straszny! — przyznał rycerz. — I nie tylko bratnia i krewna, ale każda nie po rycersku i nie z konieczności wylana krew, jest strasznym ciężarem; doświadczyłem tego dopięro gdym się twoim i Waltera zabójcą sądził: strzeż duszy twęj od takich ciężarów o synu! a wiedz o czém przekonany jestem, że przygoda ta którą honor mój tak niebezpiecznie jest zagrożony, przysłała na mnie nie dla czego, jak tylko dla ukarania mię za ten grzech mój!

— Jeżeli to w istocie ksiązę kujawski był tym pielgrzymem tam tak daleko na świecie — rzekł Hans po chwili milczenia — to źle, bo Bóg że wie gdzie on jest teraz i czy jest jeszcze przy życiu, więc gdzież go szukać i jakże mu się odwdzięczyć wierną służbą, jakem to sam sobie gorąco ślubował.

— Jeśli rzeczywiście ślubowałeś odwdzięczyć się temu księciu za chrześcijańskie koło ciebie chorego, starania księżnej Łoktkowej — rzekł rycerz



z namysłem — to musisz to uczynić koniecznie, témbardziej dziś, gdy Richartsdorffem jesteś i masz być rycerzem. Prawa rycerskie wyraźne są i ściśle w takich wypadkach. Musisz wypełnić ślub twój, a przynajmniej wszelkimi siłami wypełnić go się starać. Owszem, samo szczere staranie się o to może być bardzo pięknym wstępem do rycerskich zasług: wiedz że zaszczytnym jest i nie każdemu się trafia taki prawdziwie rycerski obowiązek jak ty masz, aby na rozkaz szlachetnej pani, wyszukać na szerokim świecie jej małżonka i odwdziżyć się jemu za jej chrześcijańskie miłosierdzie. Im więcej doświadczysz przeciwności i przygód tém piękniejszym będzie twoje zadanie, a uwolnić cię odeń może tylko jego spełnienie, albo śmierć owego księcia. Jeżeli tedy uda nam się... — tu zakrzuszył się rycerz połączony wyrazy które niepotrzebnie chciał wypowiedzieć w obec podsłuchujących go może uszu i dodał: — Jeżeli będzie można... to spełniwszy obecny mój obowiązek rycerski, ja sam pomagać ci będę w poszukiwaniach księcia ile będę mógł dopóki nie odbędzie się uroczystość Stołu, a zaś po jej dopełnieniu, jeżeli ty jeszcze nic się o księciu nie dowiesz, to chętnie wyprawię się z tobą na te poszukiwania, chociażby na całą resztę mego życia. Wierz mi że taka wyprawa może cię w swoim czasie bardzo do zaszczytów rycerskich zalecić.

Hans słuchał uważnie słów przybranego ojca, i rósł z uradowania na myśl o roztwierającej się przed nim świetnej przyszłości, o jakiej zaledwo we śnie zdarzyło mu się kiedyś marzyć podobno. Tymczasem przeszła krótka noc; o brzasku zbudziła się strudzona stara matka Hansa i roznieciwszy jasny ogień, obejrzała się po izbie; rycerz dostrzegł że Hans zamienił z nią porozumiewające spojrzenie, oczyma ukazując jej drogocenną pakę, na co ona odpowiedziała skinieniem. Rycerz zrozumiał iż matka i syn ułożyli się kolejno czuwać nad jego honorem, ścisnął serdecznie rękę Hansa, i wtedy dopiero obadwaj zasnęli spokojnie. Zbudziły ich krzyki i szarpania jakieś. Krzyki wydawała niewiasta dla zbudzenia swych chorych gości, na których banda napadła znienacka. Richartsdorffy zerwali się na równe nogi rzucając się ku pace z klawikordem, bo *to* im stało jedynie na myśli, a tymczasem paka stała spokojnie, a im tylko i ich towarzyszom zakładano na nowo owe straszne pęta do jarzma podobne; biedni Richartsdorffy poranieni byli okrutnie, młodszy zwłaszcza, a mocowało się z nimi wszystko co najmocniejsze było w zbójceckiej bandzie. Po krótkiej walce, której więźnie bezbronni i chorzy nie rozpoznałyby nawet może, gdyby nie napadnięto śpiących właśnie aby uniknąć ich oporu, spętano ich

i kazano z chaty wychodzić. Ale temu oparli się więźnie za przykładem dowódcy, który padłszy jak dąb podcięty, zdawał się martwym i nieczułym na wszelkie bolesne razy i zmuszania: postanowił widocznie dać się zabić na miejscu; zgraja opuszczała już ręce lub podnosiła ostre noże nie wiedząc co czynić innego, gdy mały wnuk Kirekirejty wyprowadził ją z kłopotu:

— Dajcie im pokój — krzyknął — bierzcie tę skrzynię tylko; a oni pójdą za nią sami, zobaczcie! — Konrad Richartsdorff zerwał się na nogi na te słowa zapominając o pętach, i padł wśród śmiechu bandy, pomozono mu powstać, a on poszedł za skrzynią, a za nim jego podwładni. Hans mały okrutnik mimo prózb, grózb, rozkazów i napomnień babki rozpaczającej, dowodził dziczą którą tu oczywiście sam on sprowadził.

— Nie głupim! — odpowiedział babce — nie zostawię ich tutaj żeby znów który nie znikł tak jak tamten co to wiesz, jużes ich opatrzyła i żaden nie umrze z ran, prócz tamtego może co za kominem leży, to go zatrzymaj sobie na pociechę, a *ci* są moi. I dziki malec urowadził więźni, mimo że nieszczęsna staruszka rozpaczliwie czepiała się szat dopiero co odzyskanego syna swego. Hans Richartsdorff milcząc z niewypowiedzianą wzdardą i politowaniem spojrział na straszego swego synowca, biedną matkę tłuszcza oderwała od syna.

— Wielki Boże jedyny! oświeć nieszczęsne to dziecko! — krzyknęła stara niewiasta padając bez zmysłów na ziemię... Mały złoczyńca dziwnie przy tém wszystkim wyglądał, bo niewiedzieli czemu czy miał zupełnie zapuchłe, zapewne skutkiem uderzenia pięścią czyjąś w walce, ale wyglądało to jakby był najokropniej zapłakany, więc śmiesznie to było że zabezczany malec dowodził dziką rozbójniczą zgrają, która słuchała go prawie mimowoli, boć wodzem jej nie był, ale ona co chwila musiała uznawać wyższość jego dowcipu i dla tego we własnym interesie była mu posłuszną. Więźni rozdzielono, dwóch Richartsdorffów, Fritza giermka, i Wolfganga tylko, razem zamknięto w ciasnej chacie, znów pod strażą dzikiej acz niezbyt wiekowej niewiasty, która różną była niezmiernie od stariej biednej babki małego złoczyńcy. Jak tamta zdawała się myśleć tylko o uldze dla cierpiących, dla których udało jej się jakiś rodzaj szpitala wśród dziczy zrobić z swęj chaty, tak *ta* przeciwnie srogością odznaczała się nawet wśród srogich Jadźwingów. Była to jakaś krewna Kirekirejty; pogłaskała po głowie małego Hansa zowiąc go „nadzieją narodu“ i przyrzekła mu że z pod jej straży żaden więzień nie ujdzie. Zaledwo zgodziła się na to że zdjęto im owe barbarzyńskie jarzma, które kładziono na dwie szyje



na raz, aby do reszty ubezwładnić więźniów przy przeprowadzaniu ich z chaty do chaty: słaba banda rozbójnicza lękała się okrutnie swych rycerskich niewolników. Stary Kire-kirejto jednakże nie chciał zanadto więźniom dokuczać i oburzać ich przeciw sobie, mając pewne na nich zamiary, jak to dobrze przeczuła stara babka Hansa okrutnika. Zdjęto więc jarzma, ale pozostawiono ich mimo to mocno spętanemi. Chatę obstawiono strażą. Na pytania co do losu pięciu braci służebnych nieobecnych, więźniowie nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Obok srogości swój, zwykłej istotom nikczemnym, nowa gospodyni była gadatliwą, przez co wkrótce wydała się, że nie rozumie żadnego języka, prócz swego, dzikiego języka Jadźwingów. Było to dogodnem dla więźniów; gdy ona przeto warząc coś u ognia, odgrażała im się i wykrzykiwała, wypominając wszelkie klęski jakie Jadźwingowie kiedykolwiek od kogobądź ponieśli, więźniowie porzuceni na garści słomy, rozmawiać przynajmniej mogli swobodnie. Paka z klawikordem stała na boku w izbie. Konrad Richartsdorff cieszył się i dziwił zarazem tém, że zdawano się jakby dbać o nią i że go z nią nie rozdzielono, ale Hans Richartsdorff, młodszy, bardziej z miejscowością obeznany, kiwał tylko głową znacząco, domyślając się w tej pozorniej łagodności jakichś zamysłów Kire-kirejty. Wśród urywanej między więźniami wymiany myśli, której przedmiotem i treścią było pytanie: jak się z pułapki wydobyć? czas biegł, ogień skwierczał, gospodyni meła językiem, aż strawę uwarzyła i podała ją więźniom, umiejętnie i złośliwie zwalniając im więzy prawej ręki o tyle tylko, żeby jeść sami mogli. Sama siadłszy na kupie śmieci zabrała się także do jedzenia. Chata, mniejsza od poprzedniej byłaby zresztą do niej podobną, gdyby niechlujstwo terażniejszej, nie stanowiło zbyt rażącej różnicy między niemi.

— Jedzcie! — rzekł surowo Konrad Richartsdorff — bo bez pożywienia nie odzyskamy sił na które jedynie liczyć musimy chcąc się ztąd wyostać. — I towarzysze rycerza poczęli jeść przeciężając wstręt do strawy podanej w brudnem naczyniu i ze złorzeczeniem: rycerz wielki pan dawał przykład. Ale zaledwo rozeszła się po izbie para i przypalenizna niedbale zgotowanego jadła, gdy dziwny niepojęty dla więźniów szelest dał się słyszeć po wszystkich kątach brudnej izby, i z pomiędzy śmieci, tu, tam i ówdzie, pod ławą, z pod mchu, z pod naczyń, wyjrzały okropne spłaszczone, żywo poruszające się głowy gadzin... Węże niezbyt długie, ale niepomiernie tłuste, wypełzły z kątów i dziur podziemnych: skóra świeciła się na nich i lśniła z dobrobytu i fałdowała, tak, jak to dziś widzieć się daje czasem na bardzo pieszcz-

nych pieskach pokojowych, mopsach zwłaszcza. Węże te tłuste były tak bardzo, że przez to aż na właściwej gadom zwinności traciły. Leniwie, poważnie prawie, potwory syczące wypełzły na izbę i skierowały się spokojnie, prosto ku jedzącym: zanim starszy Richartsdorff zrozumiał o co idzie, już wstrętna każdemu oku głowa gadu wspiętego zanurzyła się w naczyniu z którego rycerz jadł... z niewymownem obrzydzeniem odepchnął naczynie wraz z chciwym gadem, którzy oboje potoczyli się na środek izby, a toż samo i w tejże chwili uczynili i inni więźniowie bo wszystkich i w tenże sposób napastowały gady. Syk przeraźliwy gadzin poparzonych rozlanem na nie jadłem, zmieszał się ze strasznym wybuchem gniewu i z potokiem słów groźnych i gestów straszliwych gospodyni, którą ostrożnie postawiwszy na ziemi swą miskę aby nie przeszkodzić gadowi jedzącemu z niej w tej chwili, skoczyła ku innym syczącym mniej ze złości niż ze zdziwienia węzom. nieprzywykłym do obejścia jakie ich od krzyżaków spotkało. Niewiasta głaskała, pieściła, ocierała i przytulała do siebie tarzające się pośrodku izby w rozlanem jadle gadziny, przemawiając przytém do nich najczulszemi tonami swego głosu, a w przerwach tych pieszczot wygrażając i łajac wojakom.

(D. c. n.).

## Z PODRÓŻY DO KIJOWA.

Listy młodej panienci do przyjaciółki.

### I.

Dnia 14 Maja 1882 r.

Wyruszam dziś z rodziną do Kijowa, płyniemy Dnieprem z miasteczka Ryzyszczowa, położonego nad brzegiem tej rzeki w powiecie Kijowskim; mała to i niezbyt porządna miescina, lecz ma ładny widok na Dniepr. Godzina pół do siódmej, ranek przyjemny, podróż odbywamy na parowcu dobrze urządzonego, ale nie należącego do pierwszorzędnych statków żeglugi po Dnieprze, nazywa się Aleksander II. Z kilku osobami zabrałam znajomość, między innemi z pewnym miłym starszkiem, kolegą Bohdana Zaleskiego. Od niego dowiedziałam się, że czółna, które spotykamy po drodze, zowią w narzeczu ludowem *duszohubkami*; nadzwyczaj małe, mogące pomieścić jednego tylko człowieka, nazwę tę noszą dla tego, że są wywrotne. Żałuję, że nie jesteś zemną, aby móżdź podzielić wrażenie jakie budzi we mnie Dniepr i jego brzegi, które są nadzwyczaj malownicze; chcę więc, o ile potrafię, opisać ci moję podróż.





K a m i e ć (str. 469).



L e s b u k o w y (str. 469).



Lewy brzeg Dniepru zupełnie płaski, piaszczysty, pokryty niezbyt bujną roślinnością, składającą się po większej części z karłowatych sosenek. Mówią że dalej są wielkie sosnowe bory, lecz z brzegów dostrzedz się to nie daje; ten pośpny widok smutne wywiera wrażenie, gdy przeciwnie brzeg prawy, stromy, najeżony wysokimi górami, o szczytach pokrytych pięknym liściastym lasem, wśród którego dostrzegać się daje niekiedy mała gromadka sosen niedawno tam zasadzonych, jest bardzo urozmaicony i wesoły. Każda z tych gór innej go jest kształtu, a gliniasty różnobarwny wierzchni pokład ziemi przyczynia się niemało do upiększenia widoku, Są też śliczne doliny, a z rzadka rozrzucone po brzegu cegielnie i pojedyncze mieszkania wieśniaków, wraz z ich trzodą, bardzo także wdzięcznie wyglądają.

Dniepr ma wody sine, dno piaszczyste; rozdziela się na kilka części, tworząc wyspy, płynęliśmy obok kilku wysp, są małe i pokryte krzakami. Jedna z gałęzi Dniepru zowie się *Czertoryją*, a wyspa, którą tworzy oddzielając się od Starego-Dniepru, Truchanowem. Dniepr zamarza zwykle w pierwszej połowie Grudnia; puszczają zaś lody między 1 a 15 Marca i często się zdarza, że rzeka wzbiera i zalewa, nie tylko wysepki, lecz cały brzeg lewy i część niższą prawego. Wylew podobny trwa do 9 Maja, poczem rzeka wchodzi w zwykłe koryto, zabierając z brzegów piasek, który w wielu miejscach tworzy dość grube ławy, utrudzające żeglugę. Szczególnie czuć się to daje przy rozmijaniu się z innym parowcem lub większą naładowaną berlinką, a nawet z wielkimi tratwami, spławiającemi drzewo, często zbczywszy cokolwiek, statek osiada na mieliźnie tak, że potrzeba użyć pomocy wiosel i całej siły pary aby go ztamtąd wydobyć. Wtedy poruszony piasek nadaje brunatną barwę żółto niebieskawej wodzie. Przed chwilą, rozmijając się innym parowcem Piotrem W. zwanym i nasz statek trafił na podobną ławę ale to trwało krótką chwilę, tak, że tylko zmiana barwy rzeki i komenda kapitana zwróciła moją uwagę na to, co się stało. Niebezpieczeństwa nie ma żadnego, a nawet jest to zabawne, jeżeli nie trzeba zbyt długo czekać, aby statek znowu płynąć zaczął

Płyniemy teraz obok kilku wiosek, które są na prawym brzegu Dniepru, główniejsze z nich Jancza i Horodyszcze, (o których wspomina Wernychora w swoich przepowiedniach). Nic osobliwego nie mogłam się o tych wioskach dowiedzieć, podobne do wszystkich, położone dość ładnie, lecz zabudowania w nich zaniedbane. — Okilka wiorst od Horodyszcza jest przystań i miasteczko Trypol, gdzie się statek zatrzymał, aby zabrać z tamtąd

podróżnych do Kijowa, który już widać z daleka, za półtorej godziny będziemy na miejscu; żałuję, że tak prędko, bo zaledwie 5½ godzin byliśmy w drodze, a żegluga po Dnieprze jest nader przyjemna. Statki z Rzyszczowa do Kijowa idą powolnie, gdyż się płynie pod wodę, a co większa, że dla braku śniegu i deszczów w tym roku woda na Dnieprze znacznie spadła. Statek przechodzi teraz pod mostem kolei żelaznej; jest to most piękny, biało malowany, wsparty na trzynastu wielkich słupach. Nieco dalej jest drugi most, zwany Mikołajewskim, pod którym statek także przepływa. Wsparty na pięciu słupach, służy do przewożenia pasażerów z Kijowa na lewy brzeg, do Małorosyi.

Teraz południe, statek zatrzymał się w porcie kijowskim, ale niepodobna wysiąść, gdyż mnóstwo wieśniaków jadących na statku, (którzy się tu zwykle w Maju udają na nabożeństwo do Ławry i dla zwiedzenia pieczar, gdzie się znajdują groby świętych) wychodzi tłocząc się i potracając. Śpieszę tymczasem skończyć list do ciebie, gdyż przyjechawszy do hotelu, muszę wypocząć. Jestem zmęczona podróżą wczorajszą którą odbyliśmy kołmi, dla odwiedzenia naszego wuja, chcąc z nim razem oglądać brzegi Dniepru. Jutro mam zamiar zwiedzać Kijów o ile mi czas pozwoli, gdyż zabawiemy tylko dwa dni w tém mieście. Wszystko co będę widzieć opiszę ci w następnym liście, a więc do jutra.

## II.

Dnia 15 Maja 1882 r.

Późno, wieczór, godzina jedenasta dochodzi, a ja, pomnąc na daną ci obietnicę, siadam do opisanja Kijowa i tego, co widziałam dziś w tém mieście. Kijów ma piękne i bogate kamienice, leży na prawym brzegu Dniepru. Położenie tu prześliczne, górzyste, dokoła piękne lasy. Miasto rozciąga się od willi „Kingrust“ (rzuć troskę) do rzeki Żebed'. Ma 165000 mieszkańców, 63 cerkwie, i dzieli się na kilka części, a mianowicie: Peczersk, Lipki, Łybedzka, Stary Kijów, Padół, Obołoń, Łukjanówka, Sołomenki.

Mieszkamy w Grand-Hôtel w samym środku miasta, zwanym *Kreszczatik*. Jest to bardzo wielka ulica, niezbyt równa, mająca najlepszy chodnik i piękne magazyny. Dziś jadąc do Ławry przejeżdżałam obok pałacu cesarskiego, który jest otoczony pięknym ogrodem, liczącym się do pierwszorzędných w Kijowie. Pałac na zewnątrz wygląda pięknie, wszystkich pokojów 83, skończony w 1870 r. gdyż poprzedni, z czasów Elżbiety, zgorzał. Przed pałacem jest ładny park; część jego



bywa oświetloną, grywa tam we święta muzyka, jest letni teatr, park ten służy za miejsce spacerowe publiczności. Znany jest pod nazwą Chateau-de-fleurs, choć nazwa ta nie zdaje mi się właściwą, gdyż mało tam bardzo kwiatów, są jednak dość ładne i dobrze rozmieszczone. Park ten nie jest dość obszerny dla licznie uczęszczających mieszkańców Kijowa, dla tego niezbyt mi się podoba to miejsce spacerowe, tu powszechnie lubione. Na tej samej ulicy znajduje się ogród, gdzie piją mineralne wody, z lewej strony stoi na wspaniałej stromiej górze pomnik śpiżowy Św. Włodzimierza, apostoła Kijowa, przedstawiany jest w postawie stojącej wielkości naturalnej z krzyżem w ręku. Koło tego pomnika rokrocznie 15 Czerwca w dzień św. Włodzimierza odprawiają nabożeństwo z procesyami, na które zbiera się mnóstwo pobożnych.

Na Peczersku znajduje się Kijowsko-Peczerska Ławra w stylu bizantyńskim, o której niesie podanie, że w XI wieku założoną była przez dwunastu braci, a ci po ukończeniu jej usnęli tamże na wieki; ciała ich zachowują się w pieczarach, uważani są za świętych. Cerkiew ta na zewnątrz okryta cała jaskrawemi malowidłami niezbyt wykwintnego pędzla które zachwycają gromadzące się tutaj tłumy, kopuły są złożone. Wewnątrz ściany przybrane obrazami w złotych ramach, drogie kamieniami wysadzanych, oraz kosztowną mozaiką. Skarbca nie mogłam widzieć, gdyż otwarty jest do południa, a ja zaś byłam później, nie wiedząc o tém. W Ławrze jest wieża, mająca przeszło 48 sążnie wysokości; dzieli się na cztery części, w trzech są dzwony, a w czwartej zegar. Pod cerkwią mieszczą się podziemia, zwane *pieczarami*, ciągnące się aż do Dniepru. Jest to długie, wąskie przejście, mające na prawo i lewo małe zakratowane framugi, służące za groby złożonym tam ciałom pomiędzy którymi ma się mieścić dwunastu założycieli Ławry w jednej jaskini. Ciemność podziemi oświetlona z rzadka pochodniami niesionemi przez przewodniczących mnichów, nie wiele widzieć dozwala. Przy każdym grobie stoi misa, gdzie pielgrzymi składają ofiary. Stanowi to ogromny dochód, służący do utrzymania cerkwi i znajdującego się przy niej klasztoru. Jest tam także głowa, o której mówi podanie, że wrasta w ziemię i gdy się już całkiem skryje, świat ma się skończyć. Lud mało-ruski odprawia coroczne wędrówki piesze ogromnemi gromadami do Kijowskiej Ławry. Cerkiew ta jest ciemna, niezbyt wielka, ale bogato przyozdobiona. Pieczary nic nie przedstawiają osobliwego, a nawet niemiłe czynią wrażenie, gdyż powietrze w nich jest wilgotne i cuchnące.

Jadąc do Ławry, na południe od Peczerska, przy ujściu rzeki Łebed', na górze wznosi się forteca

dość duża i warowna, jednak zwiedzać nawet nie próbowałam, pewną będąc, że byłoby to niepodobnem; niżej nad samym brzegiem Dniepru rozrzucone są liczne cegielnie. Wjeżdżając do Ławry przejeżdża się przez Mikołajowską bramę sklepioną z wierzchu w grubym, kilku sążniowym murze opasującym fortecę i mały kawałek dziedzińca fortecznego, gdzie stoi straż i widać kilka wielkich stosów ułożonych z bomb różnego kalibru.

Zwiedziwszy Ławrę, udałam się w licznem towarzystwie na Askoldową mogiłę, na której mieści się dość rozległy cmentarz z pięknymi pomnikami, bardzo dobrze utrzymany. Piękna miejscowość, ściąga tu wielu ciekawych; cmentarz leży na górze, z której patrząc, widać piękne brzegi Dniepru i wyspę Truchanowa. Jest tam i cerkiew św. Mikołaja, ale wówczas była zamknięta. Poniżej Askoldowej mogiły widać piękny most, zwany Mikołajowskim Pankrackim.. Askold był wodzem za panowania Ruryka, zdobywcą Kijowa, później pokonany przez Olega, padł na mogile, która zachowała jego imię.

Zwiedziwszy to wszystko, powróciłam do hotelu i dopiero nad wieczorem pojechałam do części miasta zwaną Łebedzką. Tam zwrócił moją uwagę Uniwersytet św. Włodzimierza. Posiada on bogatą bibliotekę, 5 wydziałów, jak w innych uniwersytetach; anatomiczny teatr z obserwatorium, 19 gabinetów z laboratoryami i typografią. W gabinecie zoologicznym jest kilka sal; w jednej same zwierzęta, z których najbardziej mi się podobał słoń afrykański. W drugich salonach są szafy oszklone, zawierające różne gady, płazy i t. d. dookoła sal na półkach ptaki; najwięcej zajął mię strus i prześliczne kolibry.

W tej tam części miasta, ale na ulicy Bezaka, znajduje się spory pomnik Bobryńskiego wzniesiony w 1872 r. na pamiątkę usług jakie oddał krajowemu gospodarstwu, gdyż majątek jego był wzorowo urządzony.

Oto już masz wszystko, co dziś zwiedzałam jutro mam być jeszcze w trzech cerkwiach na Starym Kijowie, ale opiszę dopiero wracając do Rryszczowa.

### III.

Dnia 17 Maja 1882 r.

Po raz ostatni biorę pióro do ręki w Kijowie. Wczorajszy dzień przeszedł mi bardzo wesoło. Pojechaliliśmy wszyscy na Stary Kijów. Zowią tak część miasta, leżącą między ulicami Kreszczatkiem, Bibikową, Bulwarną, Bulwarno-Kudrawską, Wozneseńską i Padołem. Jeszcze w X wieku najwyższa część wzgórze (Andrzejowskiem zwanego)



była opasaną wałem z ziemi; w późniejszych zaś czasach, cały plac, gdzie były książęce pałace, klasztory i cerkwie, okrążono wysokim wałem ziemnym z bastyonami, główny wjazd zamykała brama, zwana *Złotą*, na której Bolesław Chrobry, wjeżdżając jako zdobywca Kijowa miecz wyszczerbił. Dziś jest to tylko odłam starego muru z cegieł w szerokim wale ziemnym ściągnięty dla wzmocnienia żelazną opaską; u góry tablica miedziana z napisem, już nieczytelnym. Stary Kijów posiada z zakładów naukowych 2 gimnazya męskie, 1 żeńskie, instytut żeński, uniwersytet i kilka mniejszych zakładów naukowych dla obojg płci; różne biura, telegrafy, banki i cerkwie, z których zasługuje na uwagę katedra św. Zofii (na Wielkiej Włodzimierskiej ulicy), zbudowana w r. 1037 przez Jarosława, z której po najściu Batego pozostały tylko mury. W końcu XIV wieku była odnowioną. Obecnie liczy 17 ołtarzy, jest ciemna, piękna, o wysokich ponurych sklepieniach. Na ścianach, korytarzach prowadzących na chór i na samym chórze, są niedawno odnalezione freski, podobno niezmiernie starożytne i bardzo piękne. Widać nie znano się na ich wartości, gdyż pokryte były grubym tynkiem z pod którego wydobyto je teraz na wierzch; miejscami trochę uszkodzone.

Cerkiew św. Andrzeja na końcu Diesiątymięj i Andrzejewskiej ulicy, w stylu gotyckim, stoi na stromym, wysokim pagórku, założona przez cesarżowę Elżbietę w 1744 r.; fundament zagłębiony w ziemię na 20 sążni, a wysokość cerkwi wynosi 22. Pagórek na którym stoi obecnie, obmurowują, by mu nie dozwolili się osunąć gdyż groziło to zawaleniem tej świątyni, w której są ładne malowidła i rzeźby, szczególnie ambona jakby koronkowa z białego marmuru wyrzeźbiona. Z góry św. Andrzeja jest piękny widok na lewy brzeg Dniepru, most Mikołajewski i cały Padół. Szczególnie wspaniała jest ten widok podczas wylewu Dniepru.

Cerkiew św. Michała (na ulicy Trzech Świętych) założenie jej przypisują Świętopętkowi II, (Michałowi) który w r. 1108 postawił kamienną cerkiew z 15 złożonemi kopułami, od czego nazywa się *Złotowiercznym*. Podczas napadu Batego cerkiew bardzo uszkodzona, ale później została odnowioną przez Bohdana Chmielnickiego. W cerkwi św. Michała, jakkolwiek bogatą, nie osobliwego nie zwróciło mojej uwagi; zasługuje wszakże na wzmiankę pięknie dobrany chór śpiewaków.

Wracamy do Rżyszczowa parostatkiem ładnie i bogato urządzone, który nosi nazwę: Włodzimierza Wielkiego. Jesteśmy niedaleko przystani,

muszę cię więc pożegnać, gdyż nie mam już co piśać a zobaczymy się niezadługo.

Twoja K. Gru...a.

## Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Nie łatwo było jednak wydobyć ze środka pułszyste włókna, gdyż zręczni robotnicy wybornie je umocowali do zewnętrznej tkanki, wplecionej tak sztucznie, jak najpiękniejszy koszycek. Janek miał małą rączkę, a jednak nie mógł jej włożyć w otwór gniazdką; trudno było pojąć, jakim sposobem ptak się w nie wciskał; przyrodnik wytłómaczył że wikłacz, wylatując z gniazd, zwykle ten otworek dowcipnym sposobem zaciąga i prawie całkowicie ukrywa.

Chłopcy powrócili do obozu ze swoją zdybaczą, nie ruszając innych gniazd, nie długo jednak, siedzieli spokojnie; spostrzegli znowu po chwili osobliwego ptaka, jakiego nigdy jeszcze przedtem nie widzieli. Zwrócił on także uwagę starszych braci, szczególną swoją powierzchownością. Ptak to był niewielki, taki prawie, jak wróbel lub kanarek, ogon tylko miał nadzwyczaj długi, daleko dłuższy od całego ciała i to mu nadawało okazałą postać. Zabarwienie jego niezmiernie było ozdobne; główkę i skrzydełka pokrywały błyszczące piórka ciemnobrunatne, prawie czarne, na szyjce miał rodzaj naszyjnika koloru pomarańczowego, w czerwone centki, na piersiach i brzuszku barwa ta przechodziła w odcień czekoladowy.

Najosobliwsze były pióra u ogona, zupełnie czarne, ułożone w pęk ogromny, najdłuższe u spodu, a z wierzchu coraz krótsze, jedne nad drugimi. Janek i Klaas spostrzegli przy tym okazałym ptaku drugiego bardzo skromnej powierzchowności, który mu wszędzie towarzyszył. Przyrodnik im wytłómaczył, że to samica jego, która nie ma ani jaskrawego naszyjnika, ani wspaniałego ogona.

Wszyscy zaczęli wypytywać Hansa o tego szczególnego ptaka, a młodzieniec rad był bardzo, że mógł im udzielić dokładnych wiadomości, gdyż poznał go odrazu, chociaż i on także po raz pierwszy się z nim spotykał. Był to wikłacz odrębnego gatunku, przez przyrodników zwany *widua*, to jest wdowa. Nazwa ta wywołała ogólne zdziwienie, żaden z młodych słuchaczy nie mógł pojąć, jakie upatrzone podobieństwo pomiędzy tym pięknym ptakiem i smutną wdową. Na szczę-



ście nasz Hans umiał lepiej objaśnić pochodzenie tej nazwy od dawniejszych uczonych, którzy ją w klasyfikacji zoologicznej zamieścili.

— Portugalczycy — mówił młodzieniec — pierwsi odkryli tego ptaka w Afryce i przewalili go *vidah*, po prostu dla tego, że znaleziony był w kraju, który się tak nazywa. Przyrodnik francuzki Brisson zrobił z tego *vidua*, wdowa i utrzymywał, że nazwa ta pochodziła od czarnej barwy ogona. Ale nawet i w takim razie należałoby ptaka nazywać wdowcem, a nie wdową, gdyż, jak widzieliśmy, samiec tylko odznacza się tą wspaniałą ozdobą. Ptak ten z łatwością daje się w klatce hodować, wesół jest niezmiernie, skacze przez cały dzień i zabawnie porusza ogonem. Żywi się ziarnem wszelkiego rodzaju i jarzynami, lubi bardzo pluskać się w wodzie. W pewnej porze roku samiec traci całkowicie długie pióra tworzące ogon i jaskrawe piórka u szyi, i wygląda wówczas zupełnie inaczej, tak że trudno go od samicy rozpoznać. Przyrodnicy odróżniają dwa gatunki wdów: wdowę rajską, *vidua paradisaea* i wdowę o czerwonym dziobie, *vidua erythrorhynchos*, nie co mniejszą od poprzedniej, i odmiennie zabarwioną. Dziób jej, stosownie do nazwy, jest jasnoczerwony, naszyjnik biały, ma także białe pióra na końcach skrzydeł i ogon odmiennego nieco kształtu. Obyczaje obu gatunków są zupełnie jednakowe, oba też zamieszkują też same okolice w Afryce zachodniej, nigdy nie widziano ich na Przylądku, ale pierwszy gatunek pojawia się niekiedy na północnym wybrzeżu rzeki Pomarańczowej.

Tak zakończył Hans opowiadanie swoje. Młodzi myśliwi, dowiedziawszy się, że ptak ten jest taką osobliwością w tych okolicach, zapragnęli tej zdobyczy i celny strzał Williama położył trupem samca, podczas gdy Henryk w tej samej chwili wymierzył i trafił do samicy.

## XLV.

### Muchołówka bufaga.

Hans zabrał się natychmiast do wypchania dwóch ptaków, Arend mu w tém najlepiej umiał dopomóc; chociaż nie znał się wcale na ornitologii, czyli historii naturalnej ptaków, w umiejętności wypchania ich szczytków nie miał sobie równego.

Obaj zajęci byli tą robotą, rozmawiając z towarzyszami, gdy nagle usłyszeli odgłos, który sam w sobie nie miał nic przerażającego, a jednak tak nadzwyczajne na nich wywarł wrażenie, że wszyscy zerwali się na równe nogi, szczytki ptaków wypadły z rąk Hansa i Arenda. Cóż mogło być tak groźnego w krzyku niewielkiego pta-

ka? Głos ten przypominał trochę drozda, bo też w rzeczy samej ptaszyna, która go wydaje, nie większa jest od drozda, lub kosa.

Nie tylko młodzi myśliwi przestraszyli się, usłyszawszy ten krzyk wśród ciszy panującej dookoła, ale i zwierzęta dawały oznaki nadzwyczajnej trwogi. Psy wyrwały się z więzów, wyjął żałośnie, konie zaczęły rzeć i z rozwianą grzywą, uganiały po łące, woły biegły za nimi, rycząc przeraźliwie, wreszcie Facetan i Kongo nadbiegli wznosząc ręce do góry w niemém przerażeniu.

Czekacie zapewne niecierpliwie wyjaśnienia tej dziwnej zagadki; będziecie je mieli za chwilę, wprzód jednak opiszemy wam ptaka, który takie wywołał zamieszanie w całym obozie młodych myśliwych.

Ptaszek ten ma piórka niepozorne, jednostajnej, szarawej barwy, ogon nieco ciemniejszy, skrzydła krótkie, nogi opatrzone silnemi, zakrzywionemi pazurami. Szczególny jest kształt jego dzioba, który wygląda zupełnie jak silne kleszcze, gdyż obie połowy znacznie się rozszerzają przy końcu. Kształt ten wybornie jest zastosowany do obyczajów ptaka, o których z kolei powiemy słów parę.

Muchołówka bufaga odróżnia się od wszystkich innych ptaków swym osobliwszym sposobem życia. Słynny przyrodnik francuzki, Levaillant, który był zarazem i wielkim podróżnikiem, opisał ją bardzo szczegółowo, przytoczymy tu jego słowa:

„Dziób tych ptaków, zupełnie podobny do kleszczów, służy im do wyciągania ze skóry zwierząt czworonożnych różnych owadów, a zwłaszcza poczwerek, które się tam wylęgają z jaj, składanych przez muchy. Dla tego też zlatują się skwapliwie do miejsc, gdzie się pasą stada bawołów, antylop i innych zwierząt przeżuwających, sadowią się na ich grzbiecie, zapuszczają w skórę ostre pazury, a gdzie tylko nabrzmienie naskórka wskazuje obecność wykluwającej się poczwarki, chwytają ją silnie dziobem i wyciągają zupełnie jak kleszczami lub obcęgami. Zwierzę, przyzwyczajone do tego, wcale się od ptasząt nie opędza ale chętnie je gości na swoim grzbiecie, bo wie, że mu prawdziwą wyrządzają przysługę, uwalniając od dokuczliwych pasorzytów“.

Jest wiele innych gatunków ptaków które się żywią owadami i szukają ich na skórze lub w sierści zwierząt czworonożnych. W Ameryce północnej tak zwana muchołówka bawola snuje się wszędzie, gdzie przebywają stada żubrów, a i w Ameryce południowej ptaki podobne trzymają się na rozległych łąkach, gdzie pasą się liczne trzody bydła rogatego. Nawet i nasz szpak pospolity



nieraz sadowi się na grzbiecie owiec i szuka w wełnie ich pożywienia.

Ale wszystkie te ptaki chwytają owady znajdujące się na powierzchni skóry zwierzęcia, lub uplątane w sierści, podczas gdy afrykańska mucholówka bufaga wydobywa je z pod skóry silnym swoim dziobem, który, jak widzieliśmy wyżej, ma kształt jakby umyślnie do tego zastosowany. Choć żywią się owadami wszelkiego rodzaju, ptaki te największe upodobanie mają do tych poczwerek, ztąd pochodzi dziwaczna nazwa, którą im nadali przyrodnicy, *buphaga*, to znaczy zjadająca wołu. Nie potrzebujemy dowodzić, że nazwa ta wcale nie jest stosowna, bo ptak ani myśli zjadać wołu, nie kosztuje nawet jego skóry, tylko ją uwalnia od pasorzytów. Ale wyraz *buphaga*, pomimo fałszywego znaczenia utrzymał się dotychczas w nauce.

Odróżniają dwa gatunki mucholówek afrykańskich, jedna odznacza się dziobem czerwonym jak koral, druga żółtym. Mucholówka o dziobie koralowym przebywa także na wyspie Madagaskar, jest nieco mniejsza i dziob ma mniej silny od swęj krewniaczki o żółtym dziobie. Ptaki te nie trzymają się licznymi gromadami, rzadko kiedy napotkać ich można więcej jak sześć lub ośm na raz. Są nadzwyczaj czujne i trudno bardzo się do nich zbliżyć.

A teraz, czytelnicy, wysłuchawszy tego opowiadania, z większym jeszcze zdziwieniem zapytacie zapewne, z jakiego powodu głos tej ptaszyny takie przerażenie ogólne wywołał w obozie naszych myśliwych? Przekonamy was jednak w kilku słowach, że przestrasz, ten był zupełnie usprawiedliwiony.

Bufaga afrykańska o żółtym dziobie z największym upodobaniem sadowi się na grzbiecie nosorożca białego lub czarnego. Olbrzymie cielsko tego zwierzęcia w skórze swęj grubęj i pomarszczonej mieści niezmierną ilość robactwa i ptak znajduje tam niewyczerpany zapas żywności. To też wszystkie gatunki nosorożców, zamieszkujących Afrykę południową, zwabiają do siebie bufagi, które z tego powodu zwane są pospolicie przez myśliwych ptakami nosorożców.

Zwierz wędruje wszędzie i zawsze w towarzystwie ptaszyny, z którą żyje w największej zażyłości. Bufaga jest mu z wielu względów niezmiernie pożyteczna, gdyż nietylko uwalnia go od dokuczliwych pasożytów, ale go ostrzega o zbliżeniu niebezpieczeństwa. Niech tylko myśliwy ukaże się w oddaleniu, ptak natychmiast daje hasło trwogi, a jeśli nosorożec śpi twardo i nie przebudza się na głos jego, uderza go dziobem po uszach, nagłąc do ucieczki. Tak samo postępuje

z hipopotamem i słoniem, nie mało przyczyniając z trudności myśliwym, polującym na te zwierzęta, tą swoją niezmordowaną czujnością.

Wiedzieli o tém wszystkim młodzi nasi podróżnicy, znały to hasło bufagi psy ich, woły i konie, nie dziw więc, że głos ptaka, który zwiastował bliskość strasznego zwierza, wzbudził tak powszechną trwogę w obozie.

## XLVI.

### Walka z nosorożcami.

Wszyscy myśliwi zwrócili oczy w stronę, z kąd dochodził głos bufagi i spostrzegli tam w rzeczywistości dwa olbrzymie nosorożce, nadchodzące z drugiej strony gór przez owę szczybę w skałę, o której wspominaliśmy wyżej. Kroczyły korytem rzeki, a woda sięgała im do połowy nóg. Miały skórę jasną, prawie białą, a po wielkich rogach, do góry zakrzywionych, Hans poznał gatunek przez krajowców przezwany *muszoszo*, a przez przyrodników *rhinoceros simus*.

Drugi gatunek nosorożców białych ma nazwę krajową *kobaoba*, naukową *rhinoceros Oswellii* od przyrodnika Oswella, chociaż słuszniej byłoby daleko nazwać go *Cummingsii* gdyż wielki myśliwy Cumming pierwszy opisał dokładnie to zwierzę, on też przysporzył nauce wiele innych ciekawych wiadomości o faunie afrykańskiej.

Dwa te gatunki nosorożców białych różnią się pomiędzy sobą wielkością i kształtem rogów. U obu róg tylny jest niewielką stożkową naroślą, dochodzącą piętnastu do dwudziestu centymetrów, lecz przedni, znacznie dłuższy niż u nosorożca czarnego, u muszosza miewa często prawie cały metr długości, sterczy prosto w górę, a przy końcu lekko się w tył zakrzywia, u kobaoba bywa jeszcze dłuższy, wygięty naprzód, tak, że tworzy z pyskiem kąt prawie prosty.

Obaj przewyższają znacznie wzrostem nosorożce czarne, nie ustępują nawet ogromem swym nosorożcom azjatyckim, które często widzieć można w ogrodach zoologicznych w Europie. Jednym słowem nosorożce białe afrykańskie są to po słoniach największe ze wszystkich czworonożnych zwierząt. Obyczajami wyróżniają się także od innych pokrewnych gatunków; żywią się głównie trawą i pysk mają do tego zastosowany, podczas gdy u nosorożca czarnego, który ogryza krzaki i małe drzewka, wargę wierzchnią jest dłuższa i chwytana, aby zwierz mógł nią przytrzymywać gałązki, gdy objada z nich liście i pączki.

Nosorożce białe mają we wszystkim odmienne nieco usposobienie. Czarny jest nadzwyczaj gwałtowny, złośliwy, biega bardzo szybko, a dla czło-



wieka bywa prawie tak niebezpieczny, jak lew. Białe przeciwnie są ociężałe, nigdy też nie rzucają się na człowieka, jeżeli ich czém nie rozdrażni.

Lecz gdy są ranione, lub gdy samica ma przy sobie małe, stają się niemniej straszne, jak czarne i nieraz krajowcy afrykańscy padają ofiarą wściekłości tych potężnych zwierząt, jeśli wystąpią z nimi do walki.

Mięso nosorożców białych jest dosyć smaczne, przypomina mięso świni domowej, nosorożec czarny ma mięso cierpkie i cuchnące. Podróźni nasi wiedzieli o tych wszystkich szczegółach bardzo dobrze, to też uspokoił się nieco, gdy poznali w zbliżającym się nosorożcu gatunek *muszoszo*. Pobiegli co żywo po strzelby i przygotowali się do walki z potężnymi zwierzętami. Gdyby natomiast ujrzeli przed sobą czarnego nosorożca, nie odważyliby się na to, ale nie tracąc czasu wskoczyliby natychmiast na konie, lub ukryli się w głębi swoich wozów, dla uniknięcia tego niebezpiecznego spotkania.

Dwa nosorożce postępowaly zwolna jeden za drugim, a gdy przekroczyły wąską szczyrbę, stanowiącą wejście do doliny, wyszły na brzeg strumienia i skierowały się na środek łąki. Młodzieńcy widzieli je teraz, jak na dłoni, i wydały im się olbrzymiej wielkości; jeden zwłaszcza, znacznie od drugiego większy, zdaleka wyglądał jak słoń, musiał mieć niezawodnie z pięć metrów długości od pyska aż do puszystej kity na końcu ogona.

Myśliwi nasi, uzbrojeni w strzelby nabite, śmiało puścili się w pogoń za nosorożcami i zbliżywszy się nieco spostrzegli dopiero ze zdziwieniem, że za dwojgiem starych postępował trzeci, nie większy od świni domowej. Malec ten bardzo zabawnie wyglądał, jakby wizerunek zmniejszony swoich rodziców, z tą jedną różnicą, że nie miał jeszcze na nosie dużego rogu. Był to oczywiście potomek owiej zgodnej pary, która go poprzedzała.

Odkrycie to niezmiernie uradowało naszych myśliwych. Słyszeli nieraz, że mięso młodego nosorożca jest bardzo smaczne i wszyscy, nie wyłączając Facetana i Konga, cieszyli się z góry na myśl o wybornej wieczerzy, którą sobie sporządzą z tej przepysznej zwierzyny. Roztrzępańcy nie pomyśleli o tém, że nosorożec jest najniebezpieczniejszy, gdy ma przy sobie swoje małe; w zapale myśliwskim, zapomnieli o wszystkiém. Roztropny przyrodnik miał wprawdzie jakieś niedobre przecucia, ale nie wspomniał o tém, bo wiedział, że w tej chwili wszelkie przestrogi na nicby się nie zdały, pośpieszył więc za innymi. Wkrótce odgłos licznych strzałów rozległ się w dolinie, powtórzy-

ły go echa okoliczne, a grad kul rozmaitej wielkości spadł nagle na zdziwioną parę nosorożców.

Jedynym skutkiem tej kanonady był szalony gniew napadniętych zwierząt, które w tejże samej chwili odwróciły się i pędem poskoczyły wprost na młodych myśliwych. Wzrok ich rozogniony, głośne sapanie i chrząkanie, postawa wyzywająca, wszystko świadczyło o niezwyklej wściekłości nosorożców. Oboje starzy biegli z głową spuszczoną i rogiem groźnie nastawionym, malec podążał za nimi, naśladowując wszystkie ruchy rodziców w najzabawniejszy sposób.

Młodzieńcy nie spodziewali się tego wcale. Gdy czarny nosorożec rzuca się na strzelca, niema w tém nic dziwnego, ale muszoszo, który zwykle obawia się nawet szczekania psa, a na odgłos palnej broni ucieka sromotnie, żeby miał się tak zuchwale stawić, to była rzecz niesłychana.

Młodzi nasi myśliwi popelnili wielką nieroztropność, porywając się na rodzinę nosorożców bez namysłu, zanadto lekkomyślnie radowali się obecnością malca, którego mięso ich nęciło; on to właśnie natchnął rodziców taką odwagą i wściekłością, w jego obronie występowali dzielnie oboje, przytém, otrzymawszy kilka lekkich ran byli nadzwyczajnie rozdrażnieni.

Młodzi nasi rycerze nie dotrzymali placu, widząc zbliżenie tak groźnego nieprzyjaciela; jak malcy schwytni na swawoli zmykają przed bakałarzem, tak wszyscy, nie wyłączając Williama i Henryka, sadzili pędem przez błonia, uciekając od pogoni rozjuszonych nosorożców. Buszman i Zulus nie pozostali w tyle, obaj należeli do tej niefortunnej wyprawy, obaj też teraz wzięli nogi za pas i biegli razem z panami, co mogli wyskoczyć. Nigdy zapewne w tej dzikiej, odludnej dolinie, nie widziano podobnej gonitwy.

## XLVII.

### Jazda na nosorożcu.

Na szczęście naszych zbiegów wozy ich niezbyt daleko stały, przebiegłszy więc z szybkością strzały niewielką przestrzeń, znaleźli w nich schronienie. Gdyby pogoń była potrwała o jedną chwilę dłużej, nie byłiby uszli cało. Ostatni z nich jeszcze nie wskoczył do środka, gdy rogi nosorożców uderzyły wściekle o deski zewnętrzne wozu.

Młodzieńcy ukryli się w wozach jedynie w braku bezpieczniejszego schronienia. Wiedzieli, że gdyby nosorożcom przyszła ochota je porozbijać, dokonałyby tego z największą łatwością. Pocięszali się tylko nadzieją, że im to na myśl nie przyjdzie. Lecz omyliła ich ta nadzieja, wyobraźcie sobie przerażenie nieszczęśliwych chłopców,



gdy z głębi swęj kryjówki ujrzeli, jak większy nosorożec ze spuszczoną głową rozpedził się prosto na wóz, w którym siedziała większa część gromadki.

Uderzenie było straszne; potężny róg zwierza przebił przednią deskę na wylot, dyszel roztrzaskał się w drobne kawałki, a ciężki wóz, zerwany z kół wyleciał w powietrze, i spadł na ziemię o kilkanaście kroków dalej. Okrzyk trwogi wyrwał się z piersi młodzieńców, gdy spostrzegli, że nosorożec gotował się do powtórnej napaści.

Lecz w chwili, gdy potwór miał po raz drugi uderzyć całą siłą o wóz obalony, dwa ogary schwyły go zębami za boki, a trzeci uwiesił mu się do ogona. Trzeba wiedzieć, że ogon jest najczulszą częścią ciała nosorożca, to też niespodziewany ten napad zdziwił go bardzo nieprzyjemnie; odwrócił się, jak mógł najspieszniej i sapiąc ze złości i bólu, usiłował się od psów opędzić. Ale nie mógł tego dokazać; ogary uczepliły się do niego, jak pijawki i ociężały zwierz musiał się kręcić na miejscu, jak kozieł który chce złapać zębami koniec swego ogona, chociaż co prawda, porównanie dwojga zwierząt tak niepodobnych do siebie nie bardzo jest stosowne.

W końcu jednak nosorożec szarpnął się tak gwałtownie, że psy potoczyły się na trawę, gdzie w mgnieniu oka jeden zginął zgnieciony pod stopami samca, a drugi przebitý rogiem samicy. Ale dzielne pieski napaścią swoją odwróciły uwagę nosorożców od młodych myśliwych, którzy siedzieli cichuteńko w swoich kryjówkach. Ociężała para powlokła się dalej nie oglądając się na wozy. Nosorożec jest zbyt roztropny, aby miał powracać do przeciwnika, którego raz z oczu straci, przytém ma wzrok bardzo tępy.

Podróznicy nasi nie byli jednak zupełnie spokojni, szczególnie obawiali się o swoje wierzchowce. Jak wspomnieliśmy wyżej, konie i woły pały się swobodnie na łące w chwili, gdy nosorożce się ukazały w dolinie. Woły roztropniejsze przemknęły się cichaczem tą samą drogą, którą przyszły dzikie zwierzęta i były już bezpieczne po drugiej stronie góry; ale konie przerażone uganiały przez cały czas jak szalone po błoni, a gdy nosorożce walczyły z psami, w najwyższej trwodze skupiły się u stóp wysokiej stromęj skały, drząc na całym ciele.

(D. c. n.)

### Niteczka Aryadny:

świa	tła	cie	ło	zga	dnąć	zi	mno
bez	ma	pła	by	ła	mno	cha	os
ni	gne	su	by	two	cie	ste	czy
rzu	ce	i	e	co	ni	taj	wi
Co	dzie	lu	le	pro	mie	więc	sło
by	by	ry	ktry	cznych	wat	ne	czna
ło	kre	su	któ	mie	świa	wi	dzia
wśród	za	na	ste	ni	pro	tło	two

### S Z A R A D A (Rózia D).

Trzecia — pierwsza: albo dama,  
Albo Adam, w tymże składzie  
Bierzcie damę, lub Adama  
Nie zaszkodzi to szaradzie.  
Drugi pisarz czeski w Pradze  
I redaktor pisma „Kwiaty“  
A wszystko imię kobiety  
W kalendarzu szukać radzę.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

#### Zadania konikowego:

Jedzą, piją, lulki pałą,  
Tańce, hulanka, swawola;  
Ledwie karczmy nie rozwałą,  
Cha, cha, chi, chi, hejże, hola!

Twardowski siadł \* w końcu stoła,  
Podparł się w boki, jak basza:  
Hulaj dusza! bulaj! woła,  
Śmiesz, tumani, przestrasza.

(Ballada Mickiewicza: Pan Twardowski).

#### Łamigłównki w kwadraciku.

D	O	Ż	A
O	W	Λ	D
Ż	A	B	A
A	D	A	M

### Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Janlinie Żura...w w Charkowcu. Młodzi żeglarze kosztują  
rs. 1, przesyłka wyniesie kop. 20.